

## **Kaśka Bryła**

**mój ojciec**

**gułag**

**wrona**

**i ja**

[fragmenty]

Ostrożnie, za pomocą pęsety, wpycham porcję martwych robaków do szeroko rozwartego dzioba wroniego pisklęcia, które tymczasem nazwałam Karl, choć nikt, łącznie z Jonasem, ornitologiem, nie jest w stanie potwierdzić, że w przypadku Karla mamy do czynienia z osobnikiem męskim, bo u krukowatych trudno to ustalić, i rzeczywiście nie pamiętam, żebym kiedykolwiek stwierdziła różnicę jak u drozdów czy kurczaków, u których płęć też nie od razu jest widoczna, ale szybko uwydatnia się w postaci odmiennych kolorów, w sumie bez różnicy, gdyby Karl miał się okazać Karoliną, najważniejsze, uważa Jonas, że dobrze się woła Karl, staje i demonstruje: Karl! Karl!, ale Karl nie reaguje, kiwam głową apatycznie, dalej pcham w niego robaki i myślę, że klatka to tylko obszar tranzytowy, póki nie nauczy się latać i nie odfrunie, wyobrażam sobie, że taki rozwój wydarzeń będzie miał miejsce w przeciągu zaledwie kilku dni, że wronie dziecko przemieni się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w dorosłą wronę, która wyskoczy z klatki, rozłoży skrzydła, zakracze kilka razy i odleci, jak gdyby chodziło o motyla, jak gdyby wszystkie skrzydlate istoty żywe podlegały tym samym prawidłom, jak gdybym ja, od kiedy wyrosły mi piersi i co miesiąc wycieka ze mnie krew, była automatycznie kobietą, a Karl odwraca głowę, już nie chce żadnych robaków, siedzi bez ruchu na drążku, który Jonas zamontował w klatce, otwiera i zamyka na przemian to lewy to prawy pazur, gest, który ujmuje mnie tak samo jak unoszenie powiek u Esthy, więc siadam na krześle przed klatką i łapię głębszy oddech, żeby otrząsnąć się z tego uczucia, Jonas tymczasem sobie poszedł, ludzie ciągle pojawiają się i znikają, zamykam drzwi klatki, Karl ma niewzruszoną minę, żadnego skrzeczenia, żadnego niemego rozwierania dzioba, klatka to jego dom, zupełnie jakby sam ją sobie zbudował, potem 118 kroków dzielących przyczepę Jonasa od mojej przechodzę w tempie leniwca, który zdążył zapomnieć, że to jego własne nogi go niosą, człapię wzdłuż dwóch wozów drewnianych, ciężarówka, i kibla pozostałych mieszkańców, opadam z powrotem na leżak, żeby podczas Skype'a z Esthą nie wyglądać na tak zmizerowaną, żeby mi znowu nie kazała czekać tydzień, bo nikt nie chce, żeby mu ktoś przez cały czas przypominał o chorobie, nawet Estha, która potrafi wytrzymać więcej od innych, może w gułagu zostalibyście przyjaciółmi, choć nigdy nie opowiadałeś o gułagu w kontekście przyjaźni, *bo tam nie było solidarności, bo solidarność jest tylko tam,*

*gdzie nie trzeba walczyć o życie*, przewracam oczami i chcę ci zaprzeczyć, ale dziś wiem, że nie oplaca się tracić czasu na tę szarpaninę jak kiedyś, kiedy nasze nieporozumienia przesywały powierzchnię oceanu, aż się zaplątywałam w czczych pogroźkach jak delfin w sieci, a ty, jak tylko zaczynałam z wrzaskiem podskakiwać, najczęściej ustępowałeś, poza tym jednym razem, kiedy śmiałam się z protestów w związku z pewną wystawą w Warszawie, na której figurę polskiego papieża Karola Józefa Wojtyły trafił meteoryt, siedzieliśmy razem na kanapie i oglądaliśmy wiadomości, a ja po tej relacji wypaliłam, że nie mogę uwierzyć, że się tu na serio żąda cenzury, podniosłeś się, ręce zaciśnięte w pięści, purpurowy na twarzy, widziałam cię takiego tylko parę razy, i wytłumaczyłeś mi drżącym głosem, że w tym domu nikt, łącznie z twoją córką, nie będzie wyśmiewał polskiej kultury, że dla tej Polski gotów byłeś umrzeć, że posłano cię dla niej do piekła!, i myję sobie ręce przed otwarciem laptopa, bo mam na palcach Karła, robaki i własne bakterie, bo mycie rąk to podczas choroby podstawa, pracowicie naciskam stopą włącznik pompy, aż strumień poleje się na dłoń, mydlę je i myję, tak jak nauczyłam się z chińskiego wideo na YouTube, otwarty laptop odwzajemnia czyste spojrzenie, ale wstręt do wirusów nie da się spłukać, wizja, że miarowym krokiem maszerują niczym owady przez moje ciało, pożerając organ za organem, aż na leżaku zostanie już tylko moja powłoka, a armia owadów przebija moją jamę brzuszną w poszukiwaniu dodatkowych źródeł pożywienia, skąd ja biorę takie obrazy, spytała kiedyś Estha, na co wzruszyłam ramionami, było mi głupio, bo sama nie wiem, choć przeczuwam, że ma to związek z tobą i z piekłem, w którym byłeś i z którego wróciłeś, jak Jezus czy Orfeusz, i o którego zatrutych krajobrazach szeptałeś mi do ucha przed snem, jak byłam mała, żeby mnie przygotować do życia, i dlatego na każdym zdjęciu mamy ten sam wzrok wbity w pustkę, ty i ja, która mieszkam na parkingu dla przyczep, gdzie nocą przemykają po betonie lisy, kuny i szczury, a z pobliskiego lasu pohukuje sowa, gdzie w ciągu dnia wszystko zalewa hałas dobiegający z wielkiej hali, bo ktoś tam używa piły tarczowej czy łańcuchowej, wiertarki albo spawarki, gdzie zimą 2012 roku, trzy lata po twojej śmierci, przez dwa tygodnie, co cztery godziny na nowo nastawiałam budzik, żeby wrzucać do pieca brykiety w walce z minus dwudziestoma stopniami, a suka spała na kanapie zawinięta w mój wełniany sweter, gdzie w najgorętsze dni lata beton paruje do wnętrza przyczep i wszyscy leżą półnago na materacach przy otwartych na oścież drzwiach i oknach, gdzie gałęzie dyndają nad dachami przyczep niczym dredy niemytych punków ulicznych, gdzie snuje się marzenia o lewicowych utopiach, ale większość ma czterdziestogodzinny tydzień pracy i kredyt na mieszkanie, dokąd sprowadziłam się po pochowaniu ciebie, bo ciężarówka z pękniętą osią nie jeździ już po szosie, gdzie kilka razy dziennie boję się, że umieram, nawet jeśli Gerhild

twierdzi, że wszyscy umierają na niewydolność wielonarządową w przeciągu trzech pierwszych tygodni, a w moim przypadku minęły już prawie cztery, w popołudniowy dołek energetyczny wdzierają się sygnały Skype 'a, odbieram połączenie i na ekranie pojawiają się ciemnobrązowe oczy Esthy, jak się masz, pyta, kochanie, jak się czujesz, średnio, odpowiadam, tak sobie, co robisz, możesz już spacerować, mówię, że w przerwach w spaniu często czytam, czy zna antologię Bogaty kraj biednych ludzi, kręci głową, to teksty o Galicji, wyjaśniam, liczę na jej zainteresowanie, bo fascynują nas te same rzeczy, otwieram książkę i czytam na głos wiersz Paula Celana, wydrukowany zaraz pod spisem treści i zatytułowany Oko czasu: Oto jest oko czasu: / błyszczy zawistnie / pod siedmiobarwną brwią. / Jego powiekę przemywa ogień, / paruje jego łza. / Wlatuje w nie ślepa gwiazda / i roztapia się o gorącą rzęsę: / ciepło się robi na świecie / a umarli / wypuszczają pąki i kwitną,<sup>1</sup> ale Estha tylko kiwa głową, właściwie nie słuchając, skroluje przez cały czas po ekranie smartfona, bo myśli, że tego nie widzę, więc zmieniam temat i opowiadam o wronim pisklęciu, czym natychmiast zdobywam jej niepodzielną uwagę, oczy od razu błyszczą jej z ciekawości, zawsze w poszukiwaniu opowieści, więc opowiadam dalej, twierdząc, że klatka zostanie jutro przeniesiona do mnie, i kłamię, że odtąd przejmuję główną odpowiedzialność za ptaka, jest pod wrażeniem, czy mogłabym zrobić zdjęcie, pyta, odpowiadam kiwnięciem i gdybym mogła, zrobiłabym dla niej wszystko, mówi, że zaraz ma służbowy zoom, na razie!, i żeby nie zapomniała o zdjęciu, jasne, odpowiadam i macham, jej wizerunek znika, zamykam laptop i jednak zaczynam płakać.

Tuż zanim umarłeś, spadł mi na głowę orzech laskowy, potem mama mnie zawołała i pobiegłam do domu wysłuchać twoich ostatnich tchnień, położyłam się koło ciebie na łóżku i wsunęłam ci ramię pod kark, i w tej pozycji przytuliłam cię mocno, żebyś był pewien, że nie umierasz sam, żeby twoja dusza mogła mówić do mnie spokojnie, kiedy wiele lat później otworzę przeszłość i będę opowiadała twoją historię, *no to jestem, wierzę w ciebie*, mówisz, a ja odpowiadam, że bez ciebie nie podołam temu zadaniu, *razem*, mówisz, razem, zgadzam się z tobą i zerkam w stronę lasu, gdzie wydawało mi się, że widziałam cię parę dni po śmierci.

Wpadł pies do kuchni i porwał mięsa ćwierć, a jeden głupi kucharz zarząbał go na śmierć, a drugi kucharz – mądry, co w sercu litość miał, postawił psu nagrobek i taki napis dał ... Wpadł pies do kuchni, śpiewam, jak ty kiedyś, kiedy chciałeś odwrócić moją uwagę albo mnie rozśmieszyć, kiedy śpiewam, wierzę, że wszystko będzie

---

<sup>1</sup> Paul Celan, *Psalm i inne wiersze*, tłum., wybór i oprac. Ryszard Krynicki, Kraków 2013, s. 95.

dobrze, jestem gotowa na ten dzień, i oto Henrike stoi już koło mnie, twój pierwszy spacer na dworze, woła, wyrzucając ramiona w górę, jak gdybym wreszcie wstawała z wózka inwalidzkiego, cieszysz się, pyta, ale ja tylko spoglądam na Karla, kto go popilnuje, jak nas nie będzie, pytam, poradzi sobie, uważa Henrike, wierzy, zupełnie jak Gerhild, że mój czarny aniołek potrafi stawić czoła kotu-mordercy, że my ludzie nie powinniśmy ingerować w naturę, musisz się wreszcie stąd ruszyć, zaklina mnie, ile to już tygodni, przestałam liczyć dni czy tygodnie, dobrze ci to zrobi, zapewnia, Karl siedzi na schodach mojej przyczepy, odprowadza mnie wzrokiem, dziób ma półotwarty, nie może w to wszystko uwierzyć, tymczasem ja kieruję się wraz z Henrike w stronę bramy, tego wyjścia, do którego dostępu wzbraniałam kiedyś mojemu księciu, teraz sama z niego korzystam, powinnam się wstydzić, powinnam natychmiast zawrócić, powinnam zrobić rundkę po placu, jak zwykle, zamiast wyobrażać sobie, że mogę się wyrwać chorobie, ale jestem człowiekiem, a ty nie ustawałeś w podkreślaniu, że ludzie rodzą się z dłońmi skierowanymi w stronę ciała, a nie na zewnątrz, ja z kolei nie ustawałam w wysiłkach przekonania cię, że jest odwrotnie, że istnieje prawdziwa solidarność, że w sytuacji kryzysowej człowiek dostrzega drugiego człowieka i opiekuje się nim, nawet jeśli nie chodzi o członków własnej rodziny, krewnych czy powinowatych, Henrike nie odstępuję mnie, posuwa nogę za nogą, dreptanie obok mnie musi być dla niej strasznie nudne, czekaj chwilę, powstrzymuję ją po paru krokach, muszę sekundę odpocząć, przystajemy, patrzę w niebo, gdzie szybko przesuwają się chmury, choć nie ma wiatru, są szarawe, zanim się rozpada, zdążymy dawno wrócić, uspokaja mnie Henrike, jest mała i drobna jak koliberek, mimo to nikt by się nie zdziwił, gdyby ot tak z marszu wyrwała drzewo, odsłuchałaś wreszcie te nagrania, rzuca pytaniem w strumień chmur, rano, po wstaniu z łóżka, jeszcze przed otwarciem drzwi przyczepy i zanim zajęłam się Karlem, jadłam śniadanie z twoim głosem, z opowieścią, w której miałaś pojechać pociągiem ze Lwowa do Warszawy, żeby przekazać list, byłeś kurierem, bo byłeś taki młody, właściwie jeszcze dziecko, w pociągu były wagony, w których wolno było siedzieć tylko Niemcom, więc pomyślałaś, że tam będzie ci najbezpieczniej, na pewno opowiadałaś mi tę historię, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, *na pewno opowiadałem*, prawdopodobnie była to jedna z wielu historii na dobranoc, których już nie pamiętam, przez parę minut dziś przy śniadaniu, odpowiadam Henrike, fajnie było usłyszeć jego głos, choć brzmi jak dziurawy, bo płuca są już tak chore, automatycznie kładę sobie rękę na klatce piersiowej, Henrike kiwa głową, chodź, podejźmy jeszcze do wysypiska śmieci, jakoś sunę do przodu i zastanawiam się, jak się czują ludzie, których ciała nigdy nie są w pełni sprawne, i stwierdzam, że wokół mnie żyją tylko ludzie z ciałami w pełni sprawnymi, może jakaś jedna, dwie drobne ułomności, grube

okulary czy aparat słuchowy, wielu miało szумы w uszach, jedna osoba nawet cukrzycę, ale nie było nikogo, kto siedziałby na wózku czy chodził o kulach, był ślepy czy niesłyszący, kiedy raz stałam w kolejce na pocztę, jakieś małe dziecko, góra cztery lata, biegło tam i z powrotem i cały czas wrzeszczało, bolały od tego uszy, wszyscy rozglądali się z wyrzutem za którymś z rodziców, ale nikt nie reagował, a dziecko krzyczało dalej, nie był to agresywny wrzask, raczej miało się wrażenie, że było przyzwyczajone do głośnego krzyku, wreszcie blondynka w moim wieku obejrzała się na dziecko i zwróciła się do niego w języku migowym, jak się czujesz, pyta Henrike, cieszysz się, że jesteś tak daleko, kiedy dochodzimy do wzgórza, na mojej głowie ląduje pierwsza kropla deszczu, martwię się o Karla, odpowiadam, parking jest twierdzą, obwarowaną dwoma ulicami: drogą szybkiego ruchu, której ofiarą padają regularnie parkingowe koty, i ulicą z ograniczeniem do 30 km/h, pozostałe granice to psie przedszkole i urząd terenów zielonych, pośrodku placu stoją dwie ogromne hale, kuźnia i korytarzowiec z darmowym sklepem, otwarta część środkowej hali stanowi nasz salon, w którym zimą płonie ogień w beczkach, przy pierwszej beczce zakochałam się w życiu parkingowym, siedziałam naprzeciwko Jonasa, który nosi najmiłszy uśmiech świata i który wypytywał o mnie tak szczerze, jak to znam tylko ze Wschodu, musimy natychmiast wracać, tłumaczę, muszę do Karla, powinien wrócić do klatki, żeby nie zmoknąć, ale to ptak, sprzeciwia się Henrike, one w deszczu mokną, odwracam do niej głowę i powtarzam, musimy natychmiast z powrotem, wzruszając ramionami Henrike robi w tył zwrot, mimo wysiłku nie umiem przyspieszyć, kiedy tylko próbuję, zwiększa się ucisk w klatce piersiowej, jak gdyby leżała na niej sztabka złota, krok po kroku, myślę, krok po kroku, przecież nie muszę pchać taczki nad przepaścią, muszę tylko przejść 500 metrów od wysypiska do placu, żeby zdążyć do Karla przed deszczem, Henrike śmieje się ze mnie cicho, *na początek zacytuję pismo do konsulatu w Krakowie, które potwierdza śmierć mojego brata Zdzisława, data to 9 lipca 1949 i tu jest napisane, że Zdzisław zmarł w lipcu 1949, który rok, pytam, 1949, w takim razie dość długo tam był, dlaczego długo,* kiedy was w ogóle deportowali na Syberię, pytam, w 1946, zaraz będziemy, mówi Henrike, krople deszczu padają coraz gęściej, otwiera bramę, przechodzę przez nią i ruszam zdecydowanie w stronę swojej przyczepy, w stronę klatki Karla, plac jest pusty, kiedy wychodziłyśmy, Gerhild jeszcze siedziała na swoich schodkach, ale teraz drzwi jej przyczepy są zamknięte, a na schodach leży kot-morderca, zaraz schowa się przez kocią klapę w przyczepie, Karl!, Karl!, wołam, ani w klatce, ani pod przyczepą nic się nie rusza, Gerhild oczywiście wyjechała i nie zamknęła Karla w klatce, Karl!, Karl!, zamiast krakania aniola rozlega się wibrowanie mojego smartfona, dzwoni Estha, przesuwam palcem po ekranie i krzyczę, nie ma Karla,

deszcz pada, a jego tu nie ma, uspokój się, mówi ona, na pewno wróci, nie, krzyczę, nie ma go, jakiś kot go złapał i zaciągnął w krzaki, biegnę za toi toie i przedzieram się przez chaszczę, daj spokój, kochanie, schował się gdzieś, skąd możesz wiedzieć, szlocham, przecież cię tu nie ma!, zamiast być przy mnie i Karlu, Estha siedzi sobie przy biurku gdzieś daleko w obcym kraju, kiedy ja tu walczę o nasze przeżycie, *niemiecko-sowiecki pakt o nieagresji, pakt Ribbentrop-Mołotow, podpisany został 24 sierpnia 1939 roku i gwarantował Trzeciej Rzeszy neutralność Związku Radzieckiego w związku z planowaną napaścią na Polskę*, kiedy ty miałaś 13 lat a twój brat 15, w protokole dodatkowym ustalono, że Polska wschodnia, a więc również ta część, w której mieszkała twoja rodzina i ty, przypada Związkowi Radzieckiemu, deszcz słabnie, łydki mam podrapane przez chaszczę, Henrike trąca mnie od tyłu, chodź, nastawiłam nam kawę, halo?, woła Estha, nie mogę teraz rozmawiać, mówię do smartfona i stukam w czerwony punkt, i tak żadna z niej pomoc, a teraz przynajmniej wie, jakie to uczucie, kiedy ta druga się rozłącza, nagle i bez uprzedzenia, Henrike bierze mnie za rękę, życie to nie film Disneya, zdradza mi, a to z Karlem nigdy nie było na zawsze, dodaje, może rozmowa z Esthą byłaby jednak bardziej pocieszająca, dochodzę do wniosku, najpewniej po prostu odleciał, ciągnie Henrike, rozlewa zawartość kawiarki do dwóch kubków, siedzę otępiała na leżaku, po policzkach spływają mi łzy, niemożliwe, że Karl zniknął, że być może nie żyje, smartfon znów wibruje, znów Estha, tak, czy ty się po prostu rozłączyłaś, pyta, nie odpowiadam, a Karl, pyta dalej, nie ma, odpowiadam, Henrike wstaje i zostawia mnie z Esthą sam na sam, choć to jej wina, zaprowadziła mnie do bramy, Henrike, mój Lucyfer, moja Jutrzenka, tak samo jak Gerhild, która podczas mojego spaceru wyjechała, nie zamknąwszy Karla w klatce, tak samo jak Estha, która siedzi w Wiedniu i dzwoni tylko wtedy, kiedy jej pasuje, wszystkie trzy sprzysięgły się przeciwko mnie i mojemu czarnemu aniołowi, nie chcą, żebym wychowywała dzikie zwierzę, na pewno tylko czekały na ten moment, żeby móc mi powiedzieć, że tak to jest, że życie to nie kreskówka Disneya, i że tego typu eksperymenty raczej rzadko się udają, połykam espresso jakby to był shot, może odleciał, podsuwa Estha po dłuższej przerwie, podczas której słyszę, jak pisze coś na klawiaturze, co ty właściwie robisz za każdym razem, kiedy do mnie telefonujesz, pytam i stukanie w klawisze milknie, musiałam tylko szybko odpowiedzieć na jeden mail, a teraz jestem już przy tobie, kochanie, Karl nie umie przecież latać, wyjaśniam słabym głosem, a słońce dalej świeci optymistycznie, może zaczniesz od waszego aresztowania, zaproponowałam ci w rozmowie, albo jeszcze wcześniej, zmieniłam zdanie, i nagle czuję cię bardzo blisko, jak gdyby twoja ręka leżała na moim ramieniu, jak gdybyśmy nasze rozmowy prowadzili po raz drugi, jak przedstawiała się sytuacja, gdzie mieszkaliście, w ogóle wszystko, jesteś tak blisko mnie, że marznę w słońcu,

miałymy przecież rozmawiać o twoim tekście, zmienia temat Estha, moja ręka strzepuje okruchy ze stołu ogrodowego, to jak, pyta Estha, ale Karl, odpowiadam, a i tak wolałabym pograć się znowu razem z tobą w naszych rozmowach, więc chowam smartfon do kieszeni spodni, podczas gdy Estha mówi dalej, i podnoszę się z leżaka, *mieszkaliśmy we Lwowie, Zdzisław i ja, na ulicy Senatorskiej, mieliśmy dwupokojowe mieszkanie, w jednym pokoju mieszkałem ja razem z bratem, w drugim nasz przyjaciel Podgórski z kolegą*, kochanie, mówi Estha z kieszeni, wiesz, jak uwielbiam, co piszesz, jednak jest parę punktów, wyciągam smartfon, jakich punktów, pytam i wlokę się wzdłuż korytarzowca w stronę przyczepy Jonasa i drogi szybkiego ruchu, zwierzę udałoby się w sytuacji zagrożenia tam, gdzie kiedyś czuło się bezpiecznie, ja bym tak zrobiła, mój ptak jest sierotą, którą teraz i ja opuściłam, w tym momencie dostrzegam czarny punkt pośród liści brzozy przed przyczepą Jonasa, na przykład formy czasowe, mówi Estha powoli i z namysłem, co masz na myśli, pytam, nie wolisz dać tego jednak w czasie przeszłym, nie, odpowiadam, z uwagą całkowicie zwróconą ku czarnemu punktowi, nikt nie wie, jak się to skończy, dodaję z grzeczności, hm, robi Estha, po czym następuje cisza, która wszystko tłumi jak metr śniegu, to pierwszy raz, kiedy się jej sprzeciwiam, ale wydaje mi się to całkiem naturalne, gałąź z czarnym punktem kołysze się, Karl?, dociera do mnie ledwo słyszalne krakanie, jak on wlażł na tę gałąź, dookoła cienkiej topoli stoją szklarnia, krzesło, krótka drabina, ale nic, co byłoby wystarczająco długie, by umożliwić wspięcie się na topolę, mój skarb musiał podfrunąć na gałąź ze szklarni, mylisz się, mówi Estha, a mnie trafia to nieoczekiwanie mocno, tak mocno, że mimowolnie tryskają mi znowu łzy, Estha tego przynajmniej nie widzi, mój aniołek wychodzi z kryjówki, więc wyciągam w jego stronę palec wskazujący, ale on się waha, przecież chcę ci tylko pomóc, czas terazniejszy nie jest po prostu zbyt udany, upiera się Estha, Karl wreszcie wskakuje na palec i drepcze dalej, aż usiądzie na moim ramieniu, kochanie, słuchasz mnie jeszcze, najchętniej znów bym się rozłączyła, zamiast tego wciągam nosem mieszankę gilów i łez i odpowiadam, że potrzebowałabym trochę więcej argumentów za zmianą czasu, że jeszcze nie jestem przekonana, w porządku, zaczyna Estha, jeszcze nie skończyłam, przerywam jej, mówię, że mimo to rozważę jej argumenty, że traktuję je poważnie, ale że życzę sobie tego też w drugą stronę, że Karl się pojawił, i że siedzi mi na ramieniu, że był daleko, za przyczepą Jonasa, schował się na gałęzi topoli, i że gałąź jest tak wysoko, że chyba podfrunął na nią ze szklarni, podfrunął, podkreślam i rozłączam się.

*Senju to był obóz, w którym produkowało się cegły. Cegielnia tam była. I w tym obozie byłem w 1946 roku, 1947 i 1948. Potem deportowali mnie do Moskwy. Więc w Senju byłem*

*najdłużej, a umieralność z powodu głodu, chorób i zimna była tam bardzo duża. W Senju byliśmy też odpowiedzialni za utrzymanie linii kolejowej, którą jechały transporty węgla z Workuty na południe Związku Radzieckiego. Wiesz, Syberia to było siedemdziesiąt centymetrów zmarzliny, a pod spodem leżało bagno, i jak te pociągi towarowe po tym przejeżdżały, to czasem wszystko się zapadało i szyny pękały, więc musieliśmy jechać na ten odcinek i je naprawiać, żeby transporty mogły jechać dalej. Więźniów się tam nawet za bardzo nie pilnowało, bo i tak nie było gdzie uciekać. Jak się przestawało pracować, to się po prostu zamarzało. I dokładnie tak sobie pomyślałem: a co tam! Po prostu zamarznę. I tak miałem dość życia. Więc stanąłem. Przestałem się ruszać, już tylko się trząsłem. I prawdopodobnie bym zamarzał, ale jeden taki blatny mnie uratował. Przy ogniskach siedzieli strażnicy i kryminalni, i jeden z tych kryminalnych mnie zobaczył, jak tak stoję i już zamarzam, skoczył na nogi i krzyczy: co ty robisz? Szto ty dielajesz? Umrzeć chcesz? Ty chcesz umjeret? I wlecze mnie do ogniska, daje mi swoje palto i pozwala mi zostać, aż się rozgrzeję. Aż nie będę już chciał umierać. Przestępca, Rosjanin, mój wróg ratuje mi życie. Nie mam pojęcia, dlaczego. Przecież nie byłem Rosjaninem. Bo Rosjan się tam lepiej traktowało. Tak po prostu. Potem już go nigdy nie widziałem. W obozie też nie. Bez niego bym zamarzał. Tak, mówię. Inaczej mnie by nie było. Właśnie. Śmiejemy się, bo wszystko wydaje się nagle takie lekkie, bo życie to nic innego jak światełko świetlika, jak otwarty szeroko dziób Karla i ramię bandyty, który zaciąga cię do ogniska i niweczy twój plan umierania i podarowuje mi życie.*

Przełożyła Agnieszka Kowaluk